


Pisze się!
Agnieszka Szyk



**Twórcze
pisanie**

część trzecia



Teksty napisane przez
uczestniczki i uczestników
warsztatów

Twórcze pisanie

Żywia Zamiechowska

Justyna Załucka

Nadzieja Anna Kośnikowska

Martyna Mościcka

Kamil Olczyk

Monika Kamecka

Iwona Płonowska

Pasłek 5-9 lipca 2023r.

Wstęp

Trzecia część Antologii nie była zaplanowana i tym razem nie jest zbiorem tekstów pisanych w trakcie trzymiesięcznego kursu. To efekt pracy uczestniczek i uczestników kilkudniowych letnich warsztatów, które odbywały się od 5 do 9 lipca w Pasłęku. To, co wydarzyło się w trakcie spotkań, przekroczyło wszelkie moje oczekiwania. Przeczuwałam, że pisanie w otoczeniu przyrody, z dala od pędzącego miasta, może być inspirujące. Nie pomyliłam się. Ze wzruszeniem przyglądałam się zaangażowaniu wszystkich uczestników warsztatów. Zaufanie i otwartość grupy sprawiły, że pisanie stało się naszą codziennością i przychodziło bez trudu. Stworzyliśmy idealną przestrzeń do twórczości, dzięki czemu możecie przeczytać teksty umieszczone w Antologii. Teksty napisane w spontanicznym przepływie kilku niezwykłych dni spędzonych na Warmii.

Przyjemnej lektury!

Do zobaczenia na warsztatach!

Pisze się! Agnieszka Szyk

Żywia Zamiechowska

Dziewczynka stała. Stała na Granicy Światów i nie wiedziała, w którą pójść stronę. Po prawej miała Świat Realny, po lewej Świat Magiczny. Dziewczynka stała. Stała na Granicy Emocji. I nie wiedziała, w którą stronę czuć. Po prawej stronie miała emocje znane, a po lewej te jeszcze nieodkryte. Dziewczynka była. Była na Granicy Swojego Ciała. Prawa strona nadwrażliwa, lewa prawie martwa i nie czuły się wzajemnie. Dziewczynka widziała potwory ze Świata Realnego i motyle ze Świata Magii. Wiedziała, że stoi na Granicy Czasów tego, co było i tego, co będzie. Nikt nie mógł wskazać jej właściwego kierunku, bo nikogo tam nie było. W kieszeni spodni odnalazła mały kłębek srebrnych nici. Trzymała go w dłoni przez chwilę. Zamknęła oczy, otworzyła serce i rzuciła kłębek przed siebie. Powoli ruszyła, kierując się blaskiem. Bo droga z serca zawsze prowadzi do.

Na Granicę Światów wysyłani byli czasem Świadkowie. Milczące postaci w długich płaszczach. Świadkowie Zmiany. Przybywali wprost z Serca Nieba, gdzie wszystko miało swój początek i koniec. Świadkowie Zmiany byli niewidoczni dla tych, którzy stali na Granicy Światów i Czasu. Dla tych, którzy stali przed wyborem. Można było jedynie wyczuć energię ich mocnych spojrzeń. Pojawiali się wtedy, gdy osoba stojąca przed wyborem zbyt długo nie mogła podjąć decyzji i istniała obawa, że wróci do tego, co dawne. A to z kolei groziło wpadnięciem w Spirale Zdarzeń Przeszłych, z której nie było już wyjścia. Spirala Zdarzeń Przeszłych pochłaniała każdego, kto bał się zmiany. Istniała jednak jedna, jedyna szansa, by nie zostać zjedzonym. Ostatecznym ratunkiem była Błyskawica Szczęścia, która pojawiała się na bardzo krótko. Niektórzy stojący przed wyborem mieli to szczęście, by w porę się jej uchwycić i na jej świetle przejść na drugą stronę. Drugą stronę wyboru, którego mogli nie dokonać. Byli ocaleni. Wówczas Świadkowie Zmiany znikali. Do czasu następnego przejścia.

Dziewczynka bała się doświadczać Natury, chociaż ta wołała ją w każdym niemal momencie. Krok w Naturę to krok ku Życiu. Lęk przed zanurzeniem się w nią oznacza lęk przed doświadczeniem Życia. Takiego w całości, dogłębnie, z radością i smutkiem, z miłością i tęsknotą, z bliskością i samotnością. Dziewczynka balansowała na granicy, wciąż o krok od. Świadkowie Zmiany widzieli to wahanie. Stali niedaleko i obserwowali uważnie, co się stanie. Odważy się czy nie? Czas uciekał, chwila podjęcia decyzji zbliżała się nieubłagalnie. Dziewczynka stała na Granicy Światła i Cienia. Przed sobą widziała oświetloną słońcem, zieloną, żywą Ziemię i jej mieszkańców – rośliny i zwierzęta. Za sobą czuła chłód Cienia, gdzie czas i życie zwalniały. „Do życia! Do życia!” – szeptały przefruwające obok niej motyle. „Chodź do nas” – kwiaty zapraszały ją skinieniem kolorowych główek. Dziewczynka czuła jednak, że tam, gdzie jest słońce, musi być i cień, że ciepło bez chłodu nie istnieje, a ruch musi czasem ustąpić stagnacji. Świadkowie Zmiany przymknęli oczy i ze spokojem udali się do Serca Nieba. Ona wiedziała już to, co powinna. Odwieczna

mądrość, jak ziarenko, kiełkowała w jej wnętrzu. Nie musiała wybierać między tym, co było, a tym, co będzie. Nie musiała dzielić Świata ani Czasu. Granica pod jej stopami rozplynęła się. Naturalnym wyborem była Jedność. Jedność wszystkiego, co jest.

Justyna Załucka

Alicja w krainie kwiatów

Było lato 2023 roku. Dla Alicji ten pozornie radosny czas, jak co roku, stawał się koszmarem. Ów letni okres był porą większej swawoli picia jej ojca. Od kiedy pamięta pił zawsze. Jej dom pachniał więc alkoholem, a w koszu na śmieci stale znajdowały się stopy butelek po popularnych napojach alkoholowych.

Przez 15 lat swojego życia musiała żyć w wiecznie udawanej normalności. Bo przecież – wszyscy piją więc co w tym złego? Poza tym stresująca praca z dziećmi przyprawiała jej ojca nauczyciela o ciągle niepokoje. Nie próbował jednak zmierzyć się ze swoimi emocjami, lecz zatapiał je w alkoholu, czym obarczał żonę i córkę. W letni, wolny czas pił więc na umór, bo w dni powszednie był tak zwanym wysokofunkcjonującym alkoholikiem. Zaglądał do kieliszka i pracował, perfekcyjnie wykonując swoje obowiązki.

W jeden z lipcowych poniedziałków przyszedł późno w nocy. Poznała te jego „pijane” pukanie. Znała je na pamięć. Alicja nie spała. Otworzyła drzwi, a jej oczom ukazał się ojciec. Słaniał się na nogach jak zwierzę, mamrocząc coś pod nosem. Choć nawet czworonożne zwierzęta przejawiają grację, kiedy się poruszają. W jednej chwili w jej oczach stał się więc wielkim chodzącym nieszczęściem.

Alicja szybko wyciągała wnioski. W ciągu swojego 15-letniego życia przeżyła tyle, że czuła się niczym doświadczona losem staruszka po przejściach. W tym momencie musiała jednak wejść w rolę rodzica. Nie miała wyjścia, bo jej ojciec stał się bezbronny jak dziecko. Powoli podała mu dłoń, jednak czuła do niego wielkie obrzydzenie. On odurzony alkoholem nie spostrzegł, że w oczach córki traci szacunek, a ten tak trudno odzyskać. Koślawym krokiem wstał i własnymi siłami doszedł do łóżka, po czym zasnął. Nastąpił więc pozorny spokój. Zapanowała sielanka, o której Alicja zawsze marzyła, ponieważ odkąd pamięta, nie dane jej było żyć w normalnych warunkach.

Rano wstała, zauważając ojca, który jak gdyby nigdy nic spał na rozłożonym posłaniu. A przecież wczoraj padł na swoim „surowym” łóżku, pogrążony w alkoholowym ciągu. Wiedziała jednak, kto posprzątał ten cały bałagan. Mama. Kobieta, która bezgranicznie kochała ojca toksyczną miłością. A może pomagała mu z litości? Być może była po prostu współuzależniona, czego nie rozumiała jej córka. Alicja nie pojmowała, jak można pomagać osobie, która na to nie zasługuje. Poza tym szczerze nienawidziła ojca i często uciekała z domu. Wchodziła do swojego własnego świata, o którym tak naprawdę nikt nie wiedział – ani jej rodzice, ani rówieśnicy. Często wybiegała spontanicznie na łąkę pełną kwiatów, by kłaść się na mokrej od rosy trawie i by po prostu, choć na chwilę zniknąć. Zapominała wtedy o tym, w jakiej znajdowała się sytuacji.

Leżąc wśród kolorowych pęków, cicho zwracała się do wyimaginowanych przez siebie postaci.

- Tylko wy mnie rozumiecie - mówiła. - A ja jestem taka zmęczona - płakała. Każdą łzę codziennie oddawała więc ziemi, a ta skutecznie wchłaniała jej smutek i poczucie wstydu. I tak przetrwała najbliższe kilkanaście lat.

Marianna (miłość)

Miała 90 lat, a w swoim życiu przeżyła sporo. Kochali ją miłością prawdziwą, kochali ją tylko fizycznie, szybko porzucając, a ona zostawiała ich. Przez te wszystkie lata Marianna nie zaznała jednak głębszego uczucia, bo nie potrafiła się na nie otworzyć. Ciągle więc uciekała. Potrzebowała opiekuna - przewodnika, który ją poprowadzi lub da jej pozornie fizyczną bliskość ciała, co rano już się nie znają. Szukała miłości, a nie potrafiła znaleźć jej w sobie.

Jej nieukochane w dzieciństwie „części” rozdawała na prawo i lewo byle dostać niewielki substytut bliskości. A blisko nie była tylko ze sobą. Rzadko kiedy patrzyła więc w lustro, a swoją urodę i jej piękno uzależniała od opinii poszczególnych absztyfikantów - pozornych znawców i koneserów kobiecej urody. I choć gdy była młodą panienką, jej naturalna piękność wyróżniała się z tłumu, ona nie zauważała samej siebie. Z roku na rok gasła więc w swoim świetlistym blasku, powoli się wypalając.

W końcu uroda przeminęła, a na jej twarzy pojawiły się zmarszczki - symbole wielu doświadczeń. Oczy Marianny pozostały jednak mocno niebieskie, a w źrenicach starszej już pani tliła się nadzieja. I choć dziś jest sama, bo w wyniku splotu ludzkich ciał na świecie nie pojawiło się dziecko, to nie czuje smutku. Nie jest samotna, bo odnalazła w końcu siebie.

Nadzieja Anna Kośnikowska

Bajka na dobranoc (na deszczowy wieczór)

Ziemia była jeszcze bardzo młoda i niedoświadczona. Jej - w miarę - dojrzały charakter miał się dopiero ukształtować. No, ale nie za rok, nie za dziesięć lat nawet. Na opanowanie nieokiełznanych emocji potrzebowała - jak się później okazało - pięciu miliardów lat. Czyli pięciu tysięcy tysięcy lat. Na kartce nie wygląda to aż tak poważnie - jedna piątka i raptem dziewięć zer, ot tak:

5 000 000 000

Jednak, gdybyśmy mieli wyobrazić sobie każdy rok jako średniej wielkości Słonia, to każdy miliard składałby się ze stosu Słoni postawionych jeden na drugim w tysiącu rzędów. A w każdym rzędzie musiałby być tyś Słoni. I takich kwadratowych słoniowych placków należałoby ułożyć - jeden na drugim - no, ile? Właśnie. Cały tyś! I operację powtórzyć jeszcze kolejne cztery razy. Szczerze wątpię, czy na całej ziemi udałoby nam się znaleźć teraz wystarczająco dużo Słoni. Oczywiście, teoretycznie, moglibyśmy Słonie zastąpić Dżdżownicami, ale i tutaj zaczyna się pojawiać kilka zasadniczych problemów. Jak wytłumaczyć Dżdżownicom, żeby się nie rozpełzały w trakcie układania? Jak ułożyć jedno na drugim, żeby nie pospadały,

mając tak okrągłe grzbieciki i żadnych nóżek? I kwadrat przestałby być kwadratem, bo każda Dżdżownica jest raczej wąska niż krótka... Ojej...

Oraz ostatnia, nie mniej ważna kwestia. Słoń jest duży, odpowiednio szeroki, wysoki i długi, żeby pomieścić w sobie cały rok twojego, a nawet mojego, życia, Skarbie. Malutka Dżdżownica mogłaby reprezentować sekundę, minutę co najwyżej. Rok ma zwykle 365 dni, co oznacza prawie dziewięć tysięcy godzin, ponad pół miliona minut, blisko trzydzieści dwa miliony sekund. Nie, niestety. Dżdżownic z pewnością także by nam zabrakło.

Więc może lepiej wróćmy do Ziemi.

Nie radziła sobie z emocjami w tym czasie. Praktycznie co chwilę targwały nią konwulsyjne wstrząsy i z szeroko otwartych oczu kraterów w niebo - niczym wielkie lzy - wytryskiwały kule lawy, gorącej jak jej biedne, nieuporządkowane, rozpalone do białości wnętrze. Kule wznosiły się coraz wyżej i wyżej... W miarę oddalania się od Ziemi lava przestawała stanowić jedność, rozdzielała się na strumienie, strumyczki, wreszcie krople. Te krople osiadały na firmamencie, przyklejając się tam, gdzie im było wygodnie. Zupełnie jak krople deszczu do szyby w oknie twojej sypialni, widzisz, Skarbie? Tak właśnie powstały kwiaty. Ostrolistne dalie, wyniosłe róże, delikatne jak puch stokrotki każdej nocy migotały w odległej ciemności. Na Ziemi było bowiem jeszcze wciąż zbyt gorąco, aby kwiaty mogły się czuć komfortowo.

Wiele Słoni później Ziemia trochę się ustatkowała, przestała bulgotać, wyrzucać się i wypluwać w zdumione niebo ogniste kule. Jej powierzchnia ostygła, miejscami pokrywając się delikatną, świeżą zielenią. Wówczas niektóre kwiaty uznały, że dużo lepiej będą się prezentować wtulone w soczystoszmaragdowe szale, niż wśród zbyt licznego i - niestety - równie pięknego - rodzeństwa przyklejonego do czarnego i zimnego nieboskłonu. Zaczęły więc - początkowo pojedynczo, potem coraz liczniej - wracać na łono swojej rodzicielki. Jeszcze i teraz możesz zobaczyć jak spadają, gdy nocą w pełni lata podniesiesz wysoko głowę.

Cóż. Bardzo szybko spostrzegły, że na Ziemi konkurencja jest równie silna, jak na niebie. Zazdrość o to, który z nich jest piękniejszy, lepiej wygląda i przykuwa więcej uwagi, to zdradzieckie, toksyczne uczucie, zbyt dobrze pielęgnowane w ich głupiutkich serduszkach, zaczęło zabijać je od środka. Właśnie dlatego kwiaty, które spadły z nieba na ziemię muszą przekwitać i umierać.

I prawdę mówiąc, nie wiem, kto pierwszy postanowił te kwiaty, które wybrały niebo, nazwać gwiazdami. Ale tak się już przyjęło.

Dobranoc, Skarbie.

Chustka (dla Sławka)

Chustka do nosa. To imię nadano jej przy narodzinach. Jej i milionom jej siostr mocno przytulonych do siebie w kartonowych pudełkach. Leżały spokojnie, w bezruchu przerywanym czasem szelestem, chrząknięciem, kichnięciem, szlochnięciem. Te dźwięki oznaczały zawsze, że kolejna z nich wyfrunie z pudełka pociągana w górę nieznaną siłą.

Ona była inna. Też leżała spokojnie i w bezruchu, ale, jako jedyna spośród jednoimiennych - bezimiennych zatem - siostr, miała oczy szeroko otwarte. Obserwowała. Gromadziła informacje. Wyciągała wnioski. Skryta pod bielą

jednakową dla wszystkich, pozornie nie wyróżniała się. Nic nie zdradzało czujności, z jaką nasłuchiwała, precyzji, z jaką obliczała.

Aż wreszcie przyszedł ten Moment, na który czekała z mieszaniną lęku i pewności.

Trzaśnięcie drzwi, jak strzał z pistoletu. Jęk sprężyn kanapy. Szloch. Szurnięcie pudełka o marmurowy blat stolika. Cień ręki powstrzymujący smugę światła nad otworem w dachu jej domu. Lekki ból w chwili szarpnięcia. Zdecydowany ruch w górę, lekko po skosie. Uwaga skoncentrowana do granic. Niewielki błąd palców wystarczył. Chwyliła się frędzli płaszczka łagodnego powiewu łączącego dwa otwarte okna.

Spomiędzy kwiecistych zasłonek na drugim piętrze kamienicy prosto w słońce poleciał biały Motyl.

Lawenda

Całe pole. Fioletowy prostokąt utworzony z równych podłużnych wałków ciasno ułożonych jeden obok drugiego.

Wokół zieleń. Różne odcienie i stopnie nasycenia, grawitujące od bladorezedowych, prawie żółtych, po ciemnoszmaragdowe, dotykające granicy granatu. I oto, wśród tej falującej, przeplatającej się i uginającej od łagodnym powiewem, monotonnej niemal, harmonii - nagły zgrzyt. Nie, nie zgrzyt... To pole lawendy nie zgrzytało, nie krzyczało, niczego się nie domagało. Ono po prostu było. Całym swoim jestestwem. Majestatem purpury i nędzą siności, i wszystkim, co pomiędzy brzegami koloru, od tu i teraz, po horyzont zdarzeń.

Zapach nie docierał do mnie. Przecież musiał być. Zapach jest częścią istoty lawendy, ale tu zatarł się w powietrzu przesłoniętym barwą.

Patrzyłam na pole, do którego zwiódł mnie przewrotny GPS, i uczyłam się być.

Metanoia

Jej żywioł to Woda.

Nie zawsze tak było.

W tamtym życiu, które rozsypało się na kawałki, drobne i nieistotne, jak zgasłe iskry, wybrała Ziemię. Sądziła, że jest z tytanu. Tytan pasuje do Ziemi. Ale ona w zetknięciu z Ziemią odczuwała ból...

Dość szybko zorientowała się, że jakaś jej część była chyba ze szkła: niewidoczna, przezroczysta, krucha. Ktoś nie zauważył, potrącił, ktoś inny nadepnął; suchy trzask umykał ich nieuważnej uwadze; jej ból pozostawał. Narastał.

Doczołgała się do Wody.

Woda przygarnęła ją i otoczyła miriadą ramion, delikatnych, współczujących, dających ukojenie. Szkło powoli, powoli, zaczęło się roztopiać. Na pewno szkło? Może lód..?

Leżała w objęciach Wody miękka i bezbronna jak małż lub ślimak w kolorze tytanu. Woda pieściła ją i szeptała czule słowa, otulała i pocieszała. To trwało długo. Całą noc i kolejną, i następną. Niezliczone noce złączone ze sobą w jeden nieprzenikniony woal, bo żaden dzień jeszcze nie nastał. Kto czekał? Dzień - na jej decyzję? Czy ona - na dzień? Nie wiadomo. Dość na tym, że gdy Wodę będącą

ciemnością przeciął długi i cienki jak sztylet promień, gdy dotknął żalosego, skulonego ciała, oplótl je i przeniknął, coś zaczęło się zmieniać. Na powierzchni Wody roztańczyły się iskry, które nie gasły, a każda z nich miała swoją Historię. Woda przestała szeptać, zaczęła śpiewać. Cicho, delikatnie, jakby ktoś grał na celeście. Stopniowo - z początku pojedynczo, trochę jeszcze nieśmiało - dołączały się głosy i instrumenty. Pieśń rosła i potężniała, przynosząc jej nowe Imię.

Uuuuu... koooo... chaaa... naaaa... U-ko-cha-na... Ukochana... UKOCHANA!

Uwierzyła.

Stała w promieniach, silna i delikatna, pewna i czuła, twarda i ciepła. Migocząca wszystkimi barwami blasku i rozpraszająca mrok.

Teraz mieszka w muszli.

Woda obmywa muszlę.

Ludzie mijają muszlę.

Tak jest dobrze.

Niebo (Ps. 23)

Piekło nie musi parzyć. Może obezwładniać chłodem, milczeniem, pustką. Paraliżować tysiącami lodowych igiełek, z cichym trzaskiem wrastających w serce. Stalowym cieniem, który położył się na podłodze, przykrywając stygnące ślady stóp. Hukiem drzwi odrzuconych za siebie z nienawiścią i ulgą: - Nigdy do ciebie nie wrócę. Już dawno cię nie kocham. Czekałem tyle lat, aż dzieci dorosną. Teraz jestem wolny. Zimny sens tych słów rozchodzi się kolidując po całym moim jestestwie, rozszerza i zagarnia coraz większą przestrzeń, jak fale na jeziorze, gdy w wodę ktoś rzuci kamieniem. To są kręgi piekła. Nie siedem. Siedemdziesiąt siedem.

Stoję i patrzę wsłuchana w ciszę. Pod nogami przepaść. Nad głową przepaść. Wokół mnie przepaść. Piekło.

Nie wiem, ile czasu stoję, zanim odkrywam, że przepaścią nazwałam mgłę, zasnuwającą i spowijającą, przesłaniającą całą moją rzeczywistość. Zaczynam czuć. Czekam w samochodzie na jedno z dzieci. Walę pięściami w kierownicę i wrzeszczę: - Gdzie jesteś? Czemu na to pozwoliłeś? Ty jesteś miłością?! Nie chcę takiej miłości!! Łzy przedzierają się przez mgłę, szloch gaśnie, zacicha i teraz mogę już usłyszeć słabiutki, nieśmiały, bardzo bliski - choć jakby zupełnie nieznamy - zew mojego własnego serca.

Przed kałużą łez, w gęstej mgłę, leży cętka światła. Tu mam postawić stopę. Jeden krok. Ten jeden krok. Za kilka tygodni następny, potem kolejny. Coraz pewniej. Serce szepcze: - Przebaczyć... Nie siedem. Siedemdziesiąt siedem razy...

Podnoszę głowę. Przedemną, pod łukiem tęczy, otulony ciepłym blaskiem płaskowyz, zielone pastwisko. Nade mną i we mnie Niebo.

Szerszeń (dla Ignasia i Agnisi)

Lęk. To czułam na pewno.

Na rozkładanej kanapie w rogu pokoju małego domku letniskowego nad jeziorem, pod lekką kołdrą ubraną w bawełnianą poszwę w wyblakłe różowe kwiatki - ten dom był skazany na przedmioty z drugiej, czasem nawet trzeciej i czwartej ręki, przedmioty, chciałoby się rzec, z demobilu - wznosiły się i opadały, lekko i miarowo, dwa małe pagórki. Ich zbocza z jednej strony łagodnie osiadały na płaskowyżu kanapy, z drugiej - spod nawisu pościeli - wysterczały dwie główki; dwie prawie identyczne bużki, jedna otoczona mierzwą długich i ciemnych, druga - szorstką szczerką krótkich i płowych włosów. Moje dzieci. Moja duma, radość, miłość. Moje wszystko.

W ciszy wieczoru zaglądnącego przez uchylone okno złocistoróżową luną zachodu znad stalowosrebrzystej płaszczyzny jeziora usłyszałam trudny do określenia dźwięk. Nie potrafiłam sprecyzować jego przyczyny ani kierunku, z którego dochodził. Wiedziałam tylko, że ten dźwięk oznacza zagrożenie. Niejasne, więc tym bardziej przerażające. Skuliłam się w sobie, napięte mięśnie nie bolały tylko dlatego, że nie zwracałam na to uwagi, bez reszty skupiona na złowrogim, niskim i głośnym buczeniu przerywanym - pac! pac! pac! - mocnym stukaniem. Oczy, szeroko otwarte, nerwowo omiały całe nieduże pomieszczenie, jednak światło gasnącego dnia zatrzymywało się na krawędziach futryn, większa część pokoju tonęła w półmroku. Cały wysiłek woli włożyłam w zamknięcie oczu, by stać się słuchem. Wyostrzony adrenaliną zmysł powoli oddzielał źródło od echa. Tak. Już wiem. Słyszę. Nad samym oknem. Wplątując się w firankę, objając o zakurzone szybki między szprosami, pewnie równie przerażony jak ja, miotał się potężny szerszeń.

Bałam się. Bałam się, że użądli mnie, jeszcze bardziej - że zaatakuje któreś z dzieci. Nie mam samochodu, telefon bez zasięgu. Myśli kotłują się, kłębią, lęk narasta, zaciska mi gardło obezwładniającą paniką.

- Mama? - któreś z dzieci cichutko zawołało mnie przez sen. A może nie? Może to mój Anioł Stróż szepnął mi to do ucha, by przypomnieć mi, kim jestem?

Jestem Mamą. Mam zapewnić dzieciom bezpieczeństwo i zrobię to, bo do tego jestem powołana. Tu i teraz. Lęk, wilgotny i lepki, bezsilnie opadł i wsączył się w podłogę. Spojrzałam na szerszenia z wdzięcznością.

- Dziękuję ci, że przypomniałeś mi, ile mam siły. Też się boisz, prawda? Spokojnie. Zaufaj mi. Zaraz cię wypuszczę.

Martyna Mościcka

Jestem sobie najbliższa na świecie

O tym, że pojawi się na świecie, dowiedziała się pierwsza. Wiosną jeszcze nikt nie wiedział, nic nie przypuszczał. Nawet Wanda, jej przyszła matka, nie miała do tego głowy, inne rzeczy w tamtym czasie trudziły jej ręce. Zresztą, Janka poznała dopiero niedawno, on też jeszcze długo potem nic nie wiedział, o dzieciach nie myślał, a już tym bardziej o tych, których jeszcze na świecie nie było. Z nadejściem lipca kwiaty pokryły ogród, letni dywan ziemi. Na twarzach dzieci sąsiadów wyrosły pierwsze

piegi, opalenizna coraz mocniej przywierała do skóry. Idąc do autobusu, Wanda często zastanawiała się, mijając dom Kamiczynów, jak oni wszyscy stary Kamiczyn, Kimiczynowa i dzieci dają radę mieszkać w tym małym domu, z wątlwym oknem i z wejściem, przez które nie docierało światło. Wchodzisz w dzień i przenosisz się w sam środek nocy. Ona nigdy nie lubiła dzieci, a tych pięcioro od Kamiczynów samym swoim byciem wprowadzało ją w środek mrowiska, masz wtedy ochotę zdjąć ubranie, zdrapać z siebie to wszystko, zdezynfekować. Ale mrówki są już w twoim gardle, straszliwe swędzenie migdałków, upadasz, potem się budzisz i okazuje się, że sam musisz sobie z tym wszystkim poradzić. Z pierwszym dniem sierpnia wieść o niej wypłynęła z Wandy razem z wymiotami w kolorze wiśni dojrzewających w sadzie za domem. Dźwięk rozczarowania splątany w supeł z płaczem Wandy nad swoim losem niósł się między drzewami, pola wpiły w siebie tajemnicę. Wtedy już wiedziała: jest sobie tak bliska, jak bardzo odległa swojej przyszłej matce.

Tell me about your mother's hair

Nowe, jakkolwiek to brzmi, włosy mojej mamy są nowe. Świeże, błyszczące, jak łuski ryby. Codziennie zataczają koła na jej głowie jak woda wpływająca do odpływu w wannie. Efekt Coriolisa. Jednak, gdy byłam dzieckiem, wyobrażałam sobie, że woda po odkręceniu korka, tak pospiesznie kieruje się do wnętrza wanny, znika, bo czekają już na nią następni ludzie. Zawsze zastanawiałam się, do kogo popłynie, uciekając ode mnie. Kto następny będzie używał tej wody, kto będzie obmywał ręce moim brudem, spływającym teraz do wnętrza syfonu. Z każdym kolejnym centymetrem włosów nowe życie mamy nabiera obłych kształtów, jakby ich długość była formą rozciągającej się taśmy filmowej z zapisu kolejnych dni jej życia. Włosy rosną powoli, coraz bardziej oddalając się od głowy, tworząc obwódki w kształcie aureoli. Taką aureolę jak człowiek przymknie jedno oko, patrząc pod zachodzące słońce, może zobaczyć wokół głowy każdego człowieka. Trzeba w tym wszystkim tylko skupić się na patrzeniu. W zachodzącym słońcu z każdego wychodzi dobro, paruje przez włosy.

Ale włosy mamy są bezwzględnie dobre, pomagają dostrzec mi w niej mamę, zamiast osoby, którą zawsze znałam, no może z wyłączeniem dwóch ostatnich lat, w których choroba nie pozwalała jej być kobietą, jaką przyzwyczyła się być. Zabiegi chemiczne uprawiały żniwa na jej naturze, wpasowując jej ciało w tło kolejnych nakłuc i ran. Czerwona rzeka płynąca w jej wnętrzu stawała się zatruta, przy takiej wodzie nie mogą bawić się dzieci, w otoczeniu takiej rzeki nikt nie chciałby żyć. Nowe włosy mamy są zupełnie inne, niż te, które nosiła na głowie wcześniej i inne niż blond peruka kupiona w Dzień Matki. Wizyta w salonie peruk obydwie starałyśmy się wytrzymać, uparczywie szukając miejsca, w którym mogłybyśmy złożyć oczy jak na niewidzialnej poduszce. Przecięcia spojrzeń powodowały ból, do teraz czasami czuje go po lewej stronie pleców, w miejscu, gdzie w moim ciele zamieszkało to wspomnienie, jak gniazdo meszek, swędzi od środka. Mama przymierza peruki, jej oczy zastygają jak marmur, są jak odłamek Antarktydy. W swoim wyrazie mogłyby zapobiec ociepleniu klimatu, spowolnić pęknięcie lodowców. Mama kupuje perukę, wkłada ją do torebki, potem idziemy na obiad, przy jedzeniu nie rozmawiamy, w oczach tłoczy się wilgoć, słonawa. Materiał bluzki opina się w okolicy moich ramion, zapętłając się na nadgarstkach. Dźwięki spokojnej muzyki zatapiają wnętrze restauracji, stając się idealnym akompaniamentem dla igieł tańczących na sercu.

Włosy mojej mamy są kręcone, zawija je na palcach w kształt skorupy ślimaka. Pod pewnym nachyleniem światła wydają się być brązowe, jak czekolada z włoskich lodów, na które chodziłyśmy w niedzielę. Nie lubiłam tych lodów, nie lubiłam kobiety, która je sprzedawała, jaskrawe, czerwone paznokcie zdradzały brak gustu lodziarki. Jak się bardziej rozszerzyło oczy, jej dłonie sprawiały wrażenie surowych, kurzych łap, które jeszcze kilka godzin temu chodziły po podwórku, grzebiąc w błocie, w kamieniach i zwierzęcych odchodach. Teraz te same kończyny formowały lody, osadzając je w wafelkach, w tle muzyka klasyczna. Moja mama, której głowa parowała zmęczeniem - macierzyństwo spadło na nią zbyt szybko, uwielbiała rozmawiać z tą kobietą. Zaczynały wtedy mówić jakby w innym języku, kolejne dźwięki cumowały w moich uszach, nie rozumiałam znaczeń wypluwanych przez nie słów, splatanych jak na drutach w formę rozmowy. Koniec splotu zawsze nadchodził spóźniony. Miejsce głodu i apetytu przejmował wtedy smutek i żal, rozpychając ściany żołądka do granic. W takich chwilach nie wyobrażałam sobie, jak mogę zmieścić tam jeszcze kręconego loda. Wtedy mama przypominała mi historię o pewnym Włochu, właścicielu lodziarni. Mężczyzna miał syna, chłopiec spędzał całe godziny kręcąc się na karuzeli obok sklepu ojca. Mężczyzna pracując, widział swojego syna wtórującego ruch kołowego mechanizmu. Chłopiec z tęsknotą, która codziennie od nowa pokrywała kolejne organy jego ciała, każdą cząsteczkę skóry, czekał aż ojciec skończy pracę i wróci razem do domu. Mężczyzna był przekonany, że syn najbardziej na świecie kocha kręcić się na karuzeli, najbardziej kochał jednak jego. Pewnego dnia do miasteczka przyjechała wycieczka, lodziarz musiał zostać w pracy dłużej. Chłopiec tęsknił za nim tak mocno, że prawie czuł, jak jego skóra pęcznieje, chcąc pomieścić rozrastającą się tęsknotę za ojcem w jego wnętrzu. Gdy słońce zachodziło, szykując się do ucieczki, karuzela zaczęła nabierać prędkości. Jakby wszystkie śrubki spowalniające mechanizm skończyły pracę i udały się na spoczynek. Karuzela w swoim pędzie zaczęła wchłaniać chłopca do swojego wnętrza, kawałek po kawałku, aż w końcu zniknął, stał się jedynie częścią metalowej zabawki, subtelnym wspomnieniem tęsknoty. Stary Włoch od tamtej chwili, mając cały czas oczy przesiąknięte obrazem karuzeli wsysającej jego dziecko, do końca życia nie był w stanie robić nic innego, jak przygotowywać kręconych lodów, każdy taki lód na świecie stawał się jakby pomnikiem jego zmarłego syna. Jedzenie włoskich lodów, przygotowywanych przez lodziarkę z czerwonymi paznokciami, było pewnego rodzaju modlitwą za zmarłego chłopca, ulżeniem na sercu ojcu po stracie syna. Lody musiały namoknąć smutkiem, zanim moje ciało mogło je przetrwać. Po latach, dowiedziałam się, że nikt nie słyszał o kręconych lodach zwanych włoskimi, o tragicznej śmierci dziecka. Historia okazała się zmyślona przez moją mamę, wtedy coś się we mnie skończyło, tworząc pustą przestrzeń.

Moja mama nie chce o tym rozmawiać, nie pozwala dotykać też swoich włosów, zbyt bardzo się o nie boi. Kiedy była chora, obiecywała, że jeśli kiedyś powtórnie wyrosną, będę mogła je uczesać. Obietnica wyparowała z ostatnim włosiem, który wyrósł na jej głowie. Cytostatyki przepływające przez jej żyły, jak napój sączony przez słomkę, rozdzieliły ją na dwie połowy, składając potem w inną całość. Moja nowa mama albo moja stara mama z nowymi włosami, gotowa znowu kłamać o lodach włoskich, tańczyć wokół prawdy, jak wokół słupa wysokiego napięcia. Moja mama szaleńczo zakochana w moim ojcu, przez całe życie czekająca aż dotknie ją miłość,

utknęła w szpitalnym łóżku. Myślę o niej przeczesując w dłoniach jej perukę. Mocno zaciskam siatkę, z której wystają włosy, kalecząc sobie przy tym palce. Włosy osadzone w peruce zaczynają parzyć podrażnioną skórę jakbym trzymała w dłoni rozbitą szklankę. Czuję jak małe kawałki szkła wbijają się w otwartą ranę. Uwalniam palce z włosów. Wrzucam je do szafy, peruka opada pośpiesznie jak ciężki kamień, znika w ciemnościach. W moich uszach jeszcze długo szeleszczą dźwięki zderzenia włosów z twardą powierzchnią. Czerwień wylewająca się z rany na palcu, sączy się brudząc podłogę. Zanurzam stopy w chłodzie posadzki, kuchenną ścierką wycieram krew, zataczając coraz większe koła, czerwień osadza się w fugach między kafelkami, łącząc się z resztkami kurzu, znika.

Zeszyt-pusty zbiór zapisków i pustych stron twoich myśli

Światło białe jak płatki stokrotek przebija do wnętrza sypialni. Przeciera oczyma lewym nadgarstkiem, wgłębienie na poduszce jest mokre, znów śniły mu się koszmary, na szczęście nigdy tego potem nie pamięta. Wynosi poduszkę na balkon, słońce wtula się w materiał, jak w miękki fotel, sam idzie do łazienki. W lustrze widzi mężczyznę. Dotykając palcami swojej twarzy, sprawdza, czy wszystkie jej części są na swoim miejscu. Jeszcze tylko musi przypomnieć sobie, kim jest i co powinien dzisiaj zrobić, a raczej jakimi rzeczami musi wypełnić kilka najbliższych godzin swojego życia. Choroba się w nim przelewała, pamięta coraz mniej. Obok ręcznika leży notes, rozplývając się kolorem w szarawym świetle łazienkowej lampy. Jedyne, czego w tej chwili jest pewien, to to, że powinien go otworzyć, żeby dowiedzieć się, kim jest, jak ma na imię i co ma zrobić z rozpoczynającym się właśnie dniem. „Zeszyt-pusty zbiór zapisków i pustych stron twoich myśli”. Napis na okładce notatnika, jego ciało reaguje nerwowo za każdym razem, gdy czyta to zdanie. A przecież wie, że bez niego byłby zgubiony, ten notes pozwala mu przetrwać. Ale te słowa jednocześnie mówią mu o tym, że jest chory. Następne strony przypominają o wysłaniu wiadomości do lekarza, wzięciu tabletek utrzymujących go przy życiu, mówią o telefonie do córki. Tak, ma córkę, chociaż jej nie pamięta. Droga do kuchni, którą pokonuje codziennie, podążając w kierunku strzałek naklejonych na podłodze, za każdym razem jest dla niego jak odkrywany na nowo ląd, codziennie ten sam, za każdym razem zupełnie inny, wielka sprawa w małym życiu. Patrząc w lustro, widzi mężczyznę w średnim wieku, jednak on sam czuje się dzieckiem, nieporadnym, potrzebuje dorosłego siebie, mężczyzny z lustra, który się nim opiekuje. Lustro z biegiem czasu zaczyna traktować jak oszusta. Człowiek z lustra natomiast staje się jego serdecznym towarzyszem, najbliższą na świecie osobą. Czasem wydaje mu się, że ta twarz jest całkiem ładna, symetryczna, ufa człowiekowi noszącemu tę twarz. Codziennie poznaje ją na nowo, przypatruje się jej z taką pobłażliwością, dla swojej nie byłby tak wyrozumiały. Przeszkadzają mu wgłębienia czasu, które wyczuwa pod palcami. Dotykając swojej głowy, wyczuwa miejsca przerzedzających się włosów. Wygląda je nerwowo rękami, są niezaprzeczalnym dowodem tego, że się starzeje. Nie chce takiego losu dla mężczyzny z lustra, takich rzeczy nie życzy się przyjacielowi. Gdy o tym myśli, oddala się od lustra. Nie może spojrzeć mężczyźnie w oczy, jakby on sam na sobie doświadczył już tego wszystkiego, o czym tamten jeszcze nie wie. Przecież mu o tym nie powie, wodzi więc wzrokiem, omijając lustro. Potem zamyka notes, gasi światło w łazience, mężczyzna z lustra tonie w ciemności.

Ścieżka

Od zawsze czuł, że musi się stąd wyrwać, ale ta ziemia go w siebie wsysała, jakby był jej własnością i nikomu go oddać nie chciała. Nigdy nie był nigdzie indziej, bo zawsze był tu, kłócąc i godząc się ze swoim życiem. Mieszkał z matką w małym domu z czerwonej cegły przy lesie. Jego pokój: stara szafka na ciuchy, w niej kilka obszernych swetrów, przetarte spodnie. Przy oknie stoi biurko z czasów, gdy chodził do szkoły. Przy drzwiach małe łóżko, zimną na stopach osadzał się chłód. Na podłodze parę książek, jeszcze ich nie czytał, kiedyś to zrobi, przynajmniej ma taką nadzieję. Praca w fabryce osadzała się kurzem na jego włosach, wieczorami matka wieszała na nim swoje zbolące życie. Mówiła, że nic z niego nie będzie, że włosy ma nie takie, że za długie i przez to sobie żadnej dziewczyny nie znajdzie i starym kawalerem zostanie na jej utrzymaniu. Słowa w nim bulgotały jak ten rosół co go matka na kuchence stawiała, idąc do kościoła w niedzielne południe, nakazując mu mieszać, ale rosół częściej wykypiał, niż go Janek upilnował. Gdy wracała, nie raz dostał od matki kuchenną ścierką po karku, za to, że nawet obiadu dopilnować nie umie. Najdotkliwiej jednak Janek dostawał za to, że stawał się coraz bardziej podobny do swojego ojca. A ojca swojego nie znał, wiedział o nim tylko tyle, że ma być od niego inny, kimkolwiek był, to miało mu wystarczyć na całe życie. Za każdym razem, gdy matce w czymś ojca przypominał, wyganiała go z domu. Wtedy myślał o tym, że autobus do miasta odjeżdża o każdej równej godzinie. Zawsze w takiej chwili gotowy był do ucieczki, ale z każdym krokiem w nogach coraz bardziej osadzały się wątpliwości. Gdy był już blisko, stopy nigdy nie zdołały oderwać się od ziemi, w uszach szeleściły kroki ojca, to jak zamyka drzwi i już potem nigdy nie wraca.

Poczuj ziemię- Wypowiedz trzy słowa

Ujęła w dłoń piasek, kilka ziaren usuwającej się ziemi. Poranna wilgoć lasu odbiła się nieregularnym kształtem na jej dłoni. Jej ciało stawało się mętne jak rozgrzana świeca, przywierając do podłoża. Pod stopami coraz wyraźniej wyczuwała, jak oddycha ziemia, szybko, coraz szybciej, a potem na chwilę zamiera. Chmury przesunęły się nerwowo, co jakiś czas skrywając się za drzewa, powietrze coraz mocniej przenosiło ją do swojej bulgoczącej przestrzeni, wpijając się w nozdrza. Upadła. Rosa wessała ją do swojego wnętrza, łapczywie jak dziecko pijące mleko matki. Tak ufnie, zanim ktoś powie, że czas już minął. Trzy słowa „jest zbyt późno”, a wtedy znowu zauważy brud na swoich palcach.

A short record of the amputation of a hand

Wyjący głośno traktor pospieszany przez zmierzch rusza, ciągnąc za sobą ludzi siedzących na sankach w linii kuligu, przecinając wielkimi kołami krajobraz zimowego lasu. Gołe drzewa sprawiają wrażenie zawstydzonych, jakby nie chciały być postrzegane w roli ofiar, którym jesień zerwała ubrania z zamiarem gwałtu na ich naturze, do którego ostatecznie nie doszło w wyniku kolizji spowodowanej ociepleniem klimatu. Jest zimno, z każdym kolejnym przyciśnięciem nogi na pedał gazu, czynionym przez podstarzałego traktorzystę, temperatura wydaje się spadać. Wzmagający mróz maluje różowe szramy, pociągając szerokim pędzlem po

granatowej powierzchni, z każdą minutą coraz szybciej zarysowuje się ponury koniec dnia, który kolejny raz wydarzy się światu.

Z każdą partią dymu wypełniającego z wnętrzości ciągnika, Emma zamyka oczy, zaciskając przy tym ręce na poręczy przyciasnych sanek z dzieciństwa. Z kolejną falą brudnej sadzy jej myśli zalewa warstwa lepkiego pyłu. Jakby spaliny docierające do nozdrzy zamieniały się w dogasający popiół, parząc lekko wnętrzości. Podekscytowani prędkością ludzie, jadący za nią na sankach, sprawiają wrażenie zauroczonych przejażdżką. Dzieci ubrane w kolorowe kombinezony unoszą ręce, udając ptaki. Sprawiają przy tym wrażenie nieznamomości strachu, jakby dym, który pali ją teraz od środka, omijał ich nosy. W oczach tych dzieci Emma wydaje się sobie stara, jedzie na sankach przed nimi, torując im drogę. Zachowuje się jak dorosła, próbuje uspokajać na zakrętach, chociaż jej ciało od kilku minut tonie w strachu. W tej chwili jeszcze bardziej czuje się dzieckiem przebranym za kobietę, która połknęła kawałek jej życia. Często odczuwa niestrawności, jakby rosnące dziecko co jakiś czas budziło się w jej żołądku, podskakując pod serce. Emma martwi się o to dziecko bardziej niż o dzieci jadące za nią, boi się o nie bardziej, bo przecież kiedyś było nią. Żałuje, że go nie obroniła przed kobietą, która zamieszkała w jej wnętrzu. Jadąc na rozpędzonych sankach, mówi do samej siebie o jednej z kolorowych kurtek dla dzieci, którą rodzice kupili jej zbyt późno, po tym, jak jej myśli zdążyły sprawić, że kości zeszytniały na dobre w towarzystwie chłodu.

Dziewczyna wie, że nie może się ruszyć. Bezsilność kości postępująca szybko w ostatnich latach teraz w połączeniu z ostrymi zębami mrozu przebija ją skórę do kości i rozrywającymi uszy krzykami dzieci. Jakby wymagała nagłej interwencji lekarza. Ale jej ciało jest zbyt nieruchome, żeby wezwać pomoc. Swój krzyk ocenia jako zbyt cichy, żeby przebić się przez ścianę mrozu. Emma musi trzymać się mocno obręczy sanek i nie dać po sobie poznać, że jest przerażona. Próbuje wpatrywać się w tył głowy kierowcy traktora, w jego łysinę na czubku głowy oplecioną cienką poświatą włosów. Przyglądając się jej przez dłuższą chwilę, zaczyna dostrzegać podobiznę ptasiego jaja w gnieździe. Wyobraża sobie, co by się stało, gdyby ptak wykluł się właśnie teraz. W myślach widzi, jak wychodząc ze skorupy, stworzenie rozdziera czaszkę mężczyzny, trzymając w dziobie jego mózg. Pewność, że są zgubieni wpuszcza do ciała z kolejnym oddechem.

Z wnętrza ptasiego gniazda wyrывa ją ostre szarpnięcie, traktor gwałtownie zbacza z drogi, jakby był jedynie małym kamieniem targanym silnym wiatrem. Sanki Emmy wtórują jego ruch, jakby po wyznaczonej ścieżce, prowadzącej do ostatecznego upadku. Dziewczyna spada na zamarznąłą ziemię, która z każdą sekundą sprawia wrażenie rozgrzewającego się żelazka. Odwracając głowę do tyłu, kontem oka zauważa rząd nadciągających sanek, wesole okrzyki rozpędzonych ludzi pęcznią w jej uszach.

Pierwsze sanki jadące za nią przejeżdżają właśnie po jej lewej dłoni, wbijając ją w ziemię ostro zarysowanymi metalowymi krawędziami. Emma czuje jakby w jednej chwili ciężar jej domu rodzinnego, waga samochodu, którym co roku jeździła na wakacje, miażdżyły teraz jej lewą dłoń, wbijając ją w ziemię. Ból nagle się kurczy, Emma boi się skierować wzrok w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą leżała jej ręka. Ma przeczucie, że dłoń odłączyła się od jej ciała, że zobaczy po niej tylko pustkę, pieczętkę na piasku. Emma nie czuje już najmniejszego bólu w palcach, myśli kręcą się

w jej głowie jak zwiewne baletnice. Nic nie może zrobić, jedną ręką nie zatrzyma pędzącego kuligu. Wzrok kieruje pod powieki, nie chcąc oglądać, jak kolejne sanki przejeżdżają po jej dłoni, jakby po nowo wyznaczonej trasie przejazdu. Ludzie krzyczą, próbując zatrzymać traktorzystę, który teraz wydaje się szaleńcem, rozpędzającym się w swoich planach niczym zepsuta karuzela. Umysł dziewczyny tonie w myślach o życiu bez dłoni. W tym krótkim momencie zastanawia się, jaki kolor będzie miał żal po utracie ręki, gdy w pełni napłynie do jej ciała. Jaki kształt przyjmie zakończenie, tworząc granicę amputowanej części.

Kamil Olczyk

Każdy czuje się jak duch, gdy wydaje ostatni w życiu swoim chuch. Ten chuch to ostatnie tchnienie w pierwotnym świecie, ale pierwszy krok do nowego świata. Mroczne i nieznane okoliczności zaczynają być widziane poprzez przeźroczystą jak szkło soczewkę, jednakże nie potrafimy z niej korzystać bowiem nigdy wcześniej nie używaliśmy jej, nie myśleliśmy, by jej używać, ponieważ nie myśleliśmy, by odłożyć tamtą soczewkę, tę konkretną, której używaliśmy, gdy tchów było pod dostatkiem.

Otaczało go wielu, ale na tym zbyt nie skupiał. Wbił jedynie wzrok bez namysłu w przestrzeń na wprost. Po niedługim czasie zlało mu się wszystko w jedną plamę obrysowaną i idealnie dopasowaną do jego oczu tylko po to, by potem je zamknąć. Zobaczył wielkość o niemożliwym do zbadania kolorze. Przestał używać oczu, nie widział koloru ani kształtu. Dziwne, bo jakoś nie przez oczy, ale widział jakiś kolor tylko nie był on żadnym, który znał. Ta wielkość miała też kształt, z tym, że taki, którego dopasować nie mógł do... niczego w zasadzie. To był kształt, który ogarniał cały jego wzrok. To nicość, ale w zasadzie sprzeczna, bo ona jednak czymś była, przecież dokładnie teraz się o tym przekonywał. Uznał, że to dlatego nicość jest nicością, bo jest wszystkim, ale wszystkim tym, czego inni nie znają. Po części czuł się jak we śmierci, doświadczał wszystkiego i niczego. Słyszał kiedyś, że władzę nad człowiekiem ma pewne rodzeństwo, siostra śmierć i jej brat sen. Pomyślał, że nicość musi być ich kuzynką, bo w przeciwieństwie do nich pozostawiła go ze świadomością i kontrolą tego, co się dzieje. Pozwalała słuchać, czuć i dalej doświadczać, a nie tylko paraliżować ciało. Tym bardziej mógł cieszyć się z tego, co go otacza, niedaleko latające ptaki rozmawiające ze sobą, wiatr walczący z każdą możliwą istotą, ale który zawsze przegrywał w próbie zatrzymania jej lub gdy czuł na szyi, jak jeden z owadów siada, a potem drepcze po skórze małymi nóżkami, powodując swędzenie, ale to nie jedyne co odczuwał, bo namacalne stało się dla niego wszystko. Gdy stał się nieruchomy, skoncentrowany, w jednym momencie doświadczał, że jego zmysły były otoczone przez jakąś delikatną powłokę. Taką, która nie była niczym, co można było dotknąć, ale wszystkim, czego można było mieć wrażenie, że jest. Wiedział, że on jako człowiek i jego dusza są częścią tego terenu i świata. Tak jak wszystko jest częścią nicości i na odwrót.

Na rodzimych ziemiach Moneta ludzie cieszyli się z ogromnego dobrobytu. Tereny, na których żyli, dosyć często jak na pustynne terytoria odwiedzał deszcz. Nie było tam nigdy problemów ze śmiercią poprzez odwodnienie, jej było w opór. Tyle, że nie tylko dzielono się nią z innymi, ale także był to ważny punkt obrządków związanych z pogrzebem, ponieważ nie ważne, jak wiele wody by mieli ludzie, śmierć była czymś, przed czym nie dało się schować. Jednakże nikt nie przyjmował jej ze strachem. Widzieli ją jako wyjątkowego przyjaciela, dla którego nigdy nie mogli znaleźć czasu, którego ostatni raz widzieli przed narodzinami, a z którym w końcu mają okazję się zobaczyć. Tym razem mieli czasu ile dusza zapagnie. Regularnie zdarzało się, że ktoś przywita śmierć a wtedy jego myśli przywitają się z nim, lecz ciało zostanie, ale dbając o to, by myśli mogły się spotkać, by przypadkiem śmierć go nie przeoczyła, ciało szczęściarza było polewane spokojnym strumyczkiem wody z niewielkiego wiaderka, a wtedy śmierć dostrzegała duszę i zabierała ją ze sobą tak naturalnie jak fala wody, która zabiera ze sobą wszystkie piękne muszelki z terenów piaszczystych, a pozostawia tylko surową materię za sobą.

Monika Kamecka

Magda zamknęła okno. Jednak chłód poranka zdążył już rozgościć się w całym pokoju. Piąta trzydzieści. Nie przywykła do wstawania o tej porze. Sprawdziła telefon. Nic... Cisza. Zapomniał? A może po prostu zasnął zmęczony po pracy? Po raz kolejny nie chciała się już nad tym zastanawiać. Przecież wiedział, znał ją lepiej niż ona sama. Dlaczego? To pytanie nie dawało jej spokoju. „Nie teraz”, pomyślała. „Dziś jest mój dzień, dziś mam inne zadanie do wykonania.”

Zarzuciła na ramiona swój ulubiony wełniany sweter. Błękitna chmurka, jak nazywała go jej babcia. Lubiła go. Ilekroć siadała w fotelu otulona w szorstkie nitki wełny, wracała wspomnieniami do domu. Czuła się bezpieczna. Dziś tak bardzo tego potrzebowała. Zapewnienia, że niczego nie przeoczyła, że nie wydarzy się nic, co zrujnuje wiele miesięcy jej pracy. Dlaczego milczy? Nie, nie teraz!

Podeszła szybko do okna i otworzyła je szeroko, wystawiając twarz ku wschodzącemu słońcu. Zimny wiatr rozwiał szare chmury znad jej głowy. Czas się zbierać. Podeszła energicznie do szafy. Dobrze wiedziała, co ma dziś założyć. Wszystko przemyślała chyba na każdy możliwy sposób i o jeden raz więcej. Tak na wszelki wypadek, żeby o niczym nie zapomnieć.

Pół godziny później wsiadła do samochodu. Była gotowa. Teraz.

Księżyc. Uwielbiała patrzeć na jego piękną białą tarczę. Tak idealny w swej nieidealnej, pokrytej kraterami i plamami bieli. Dziś była pełnia. Niektórzy mówią, że to magiczna noc, gdy dzieją się nieoczekiwane rzeczy. Czy aby na pewno? Czy to, że stoi teraz pośrodku niczego, czekając na jego reakcję, jest czymś niezwykłym? Czymś nieoczekiwanym?

Na chwilę wróciła wspomnieniami do tego dnia. Był, nie zapomniał. Zawsze był... Dlaczego w niego zwątpiła?

Popatrzyła jeszcze raz na księżyc. Ile takich sytuacji już widział? A może żadnej? Może... Może byli jedyni. Jedyni niepewni. Niepewni siebie. Niepewni tego, co tu... Dlaczego tak trudno jest wypowiedzieć to, co od dawna męczy jej serce i głowę? A gdyby tak zacząć mówić, ale bez użycia słów? Czy on zrozumie taki język? Może właśnie powinna go zacząć tworzyć?

Przeniosła wzrok na jego twarz.... Uśmiechnął się. Chodź...

Stała pośrodku małego lasu nieopodal jej domu. Las, miasteczko z drzew, pomyślała. Najbliższe z nich było mieszkaniem rudej wiewiórki. Ognista kitka mignęła szybko nieopodal i zniknęła w koronie drzew. Może właśnie wracała z porannych zakupów ze świeżymi „bułeczkami” na śniadanie? Magda kochała to miejsce. Lubiła tu przychodzić wczesnym rankiem, gdy przyroda dopiero budziła się do życia. Raz nawet udało się jej podejrzeć szarego zająca, gdy beztriosko skakał po polanie. Innym razem spotkała dostojną rodzinę jeży wędrujących środkiem dróżki. Gdzieś w oddali dzieciół wybijał miarowo rytm, a ruda panna właśnie przebiegła tuż przed jej stopami i zniknęła na drzewie po drugiej stronie ścieżki. Być może postanowiła wyskoczyć na herbatkę do najbliższej przyjaciółki.

Magda czuła się tu dobrze, czuła się częścią tego miejsca. Tu zawsze czerpała inspirację. Otaczały ją najwspanialsze kolory i kompozycje, jakie kiedykolwiek mogły zostać wymyślane. Głęboka zieleń trawy, brązy, czerwienie i ten cudowny błękit nieba. Barwna paleta matki Mokosz.

Podniosła oczy ku słońcu. Jasne promienie przenikały przez korony i liście drzew łagodnie rozpuszczając mocne kształty i kolory natury. Była tu...

Iwona Płonowska

Pierwsze wrażenie – zachwyt nad pięknem stworzenia. Można tak wiele za tak niewiele.

Gonitwa świata, wyścig szczurów – po co?

Czego więcej potrzeba, aby wypełnić ciało, umysł i ducha spokojem, radością i odpoczynkiem.

Człowiek współczesny zalany oceanem różnych bodźców, informacji, stymulowany na różne sposoby do rozwoju, konsumpcji i rozrywki, zatracza naturalny instynkt życia, przetrwania i uważności. Uważność – mądre słowo klucz, które współcześni couchowie celebrują i opisują jako zjawisko na miarę odkrycia koła.

A jak było dawniej?

Jacek Walkiewicz - mój ulubiony mówca motywacyjny opowiadał, że jak jego dziadek wracał z pola i babcia podawała mu obiad, to on rozsiadał się za stołem i jadł. Tak zwyczajnie – jadł. Cały był tym jedzeniem, przeżywaniem i przeżuwanym smaku, a co za tym idzie, stawał się szacunkiem do posiłku, do jedzenia, które spożywał, oddając tym samym może nieświadomiony hołd pracy swojej żony i swojej, bo przecież on powodował, że były zniwa, żywność.

A teraz? Jemy w pośpiechu, wpatrując się w telewizory, telefony i inne głupoty, bo twierdzimy, że mamy podzielną uwagę i jak to, tak marnować czas na tak prozaiczną czynność, jaką jest jedzenie. Czy spożywając posiłki w ten sposób, czujemy ich smak? Czy doceniamy to, że mamy co jeść? Bezmyślni i głupi jesteśmy, postępując w ten sposób.

Nie istnieje coś takiego jak podzielna uwaga. Czas na naszej Ziemi jest linearny, a my żyjemy na tej Matce -Wariatce i chcąc czy nie, przyjmujemy jej rytm życia. Jednak głęboko w nas tkwi nieświadomiona tęsknota za przeżyciami, smakami, doznaniem. Gonimy więc tego króliczka, latając po całym świecie, odkrywając coraz to nowe hipsterskie restauracje z nadzieją, że właśnie tam przeżyjemy coś niezwykłego. Niestety, mamy pecha, bo we wszystkie te miejsca zabieramy siebie z nadzieją, że to właśnie ono zrobi za nas całą robotę i nas uszczęśliwi. Tymczasem mamy wszystko, czego potrzebujemy. Nie zauważamy, nie doceniamy, wymieniamy na nowszy model, biegamy za własnym ogonem i mamy ciągły niedosyt. Stop! Poczekać, nie uciekaj, padnij świadomie lub ze zmęczenia na ziemię i spójrz w niebo – jaskółki latają w nieustannym rozśpiewaniu i radości. To nie szczury w wyścigu, to piękno i pełnia, to apoteoza istnienia, wdzięczności i doceniania – tu i teraz. UWAŻNOŚĆ.